Nro 36. R. 1837. PONIEDZIAŁEK 30 STYCZNIA.

# ZBIÉRACZ
## LITERACKI I POLITYCZNY.

### PODWIĄZKA HISZPAŃSKA.

Julian Morigny, zwiedziwszy ziemię Hiszpańską, w wigilią odjazdu, gdy jeszcze raz przypatrywał się wspaniałemu mostowi na rzéce Guadalquiwir, dwie kobiéty przeszły koło niego, oglądając się nie kiedy, jak gdyby czekały kogo. Piękna postawa młodszéj uderzyła Juliana, wyrzékł słowo uwielbienia, a czarne duże oczy przez krepową zasłonę, rzuciły nań spojrzenie które za oznakę gniéwu poczytał. Damy te przechadzały się wzdłuż rzéki, a potém weszły do domu stojącego na przeciw oberży, gdzie miészkał Julian. W pół godziny weszła stara kobiéta do jego miészkania i milcząc oddała Julianowi bilet.—Schwycił go i niezmiernie zdziwił się znalazłszy w nim tylko to napisane: S.. S.... S..... Cóż to ma znaczyć? «Czytaj i zgadnij» — «To rzecz nie łatwa» — Julian z natury swojéj niecierpliwy darmo łamał sobie głowę ale zawsze nic nie widział tylko trzy S. «Posłuchaj mie pan rzekła staruszka; dama chcąca przyjąć kawalera który jéj się podoba, jakże powinna mu powiedzieć aby przyszedł? «Zapewne sam» —To dobrze przydźmy teraz do drugiego S. «Czegóż może żądać od drugiego? aby był.... «Stałym — «Przewybornie! a a teraz jakież jest ostatnie i najważniéjsze polecenie — «Sekret — «Otóż mamy wszystkie trzy litery.» — «To bardzo dobrze; ale kiedy twoja pani tak lubi zagadki, niech że na wzajem rozwiąże moją. I napisał trzy Z. staruszka powróciła i oddał mu bilet mający tak napełnione kropki: «Zachwycająca, Zakochana, Zazdrosna. — W miesiąc po tém szczególnym spotkaniu, Julian był w Kordubie, niewychodził z pomiészkania, Aurelii był szczę-

śliwym kochankiem. — Pewnego dnia odwiédzając z Aurelią żonę Korredzydora zastał tam panią Themines przybyłą z Paryża. Jak znajomemu i współziomkowi miłém było mówić znią, a nawet zajął się nią wyłącznie. — Nagle usłyszał te słowa po cichu: «Zabraniam ci rozmawiać z tą damą: Obrócił się: dwoje pięknych i czarnych oczów spoglądało nań z gniéwom — «Cóż ci to jest? rzekł do Aurelii — «Raz powiedziałam: «Twój zakaz jest niesłuszny znajoma przyjaciółka méj siostry miałaby mnie za szaleńca gdybym przerwał rozmowę — «Niech cię ma za co chce, ale ja zakazuję z nią mówić — «Aurelio! to słowo nie powinnoby nigdy wyjśdź z ust kobiéty» — «Julianie usłuchaj mego rozkazu — «Trzeba było powiedzieć mojéj proźby, byłbym uległ» — To rzekłszy odeszedł — Za chwilę Aurelia żegna się, nie przyjmuje ręki Juliana a chcącego odprowadzić, rzecze tylko do niego: «Jutro o dziesiątéj będę u ciebie — Julian niespokojny znając jéj gwałtowność i zazdrość niechcąc aby służący był świadkiem jéj uniesień wyprawił go z domu — Dziesiąta, wchodzi, zamyka drzwi, odrzuca zasłonę — «Aurelio twoja bladość! czy jesteś chora? a widząc że się schyla jak gdyby dla poprawienia podwiązki przydał żartobliwie: «Czy pozwolisz słudze twojemu» — Daj pokój mości panie, niebezpieczniéj jest dotykać się się podwiązki hiszpańskiéj jak francuzkiéj — W téj chwili Julian ujrzał błyszczące się ostrze małego sztyletu, który damy andaluzyjskie noszą za zwyczaj za podwiązką — Widząc wzniesione żelazo, zaczął bronić się ze śmiéchem, rozumiejąc że to tylko żart — Leez w tym ostrze utkwiło w rękę i krew zaczęła płynąć — Do licha to na prawdę! Jednak śmiejąc się objął ją w pół, a drugą ręką schwycił za ostrze — «Drżyj teraz piękna nieprzyjaciółko! Jeszcze tych słów nie domówił gdy pociągniony puginał mocno kaléczy rękę — «To za grube żarty! Gdy to mówił to już był przebity — Padł bez zmysłów — Ośm dni zostawał między życiem a śmiercią zachowując największe milczenie o tém wszystkiém — Gdy wstał, służący oddał mu pakę listów przysłanych pod czas choroby

—Były od Aurelii, dyktowała te namiętność, każdy wyraz tchnął miłością, błagała o przebaczenie tego, którego wolała widzieć raczéj umarłym niż wiarołomnym — Najuważniéj przeczytał te listy a potém zabrawszy dawniéjsze jako téż pierścionki, miniaturę, włosy, te wszystkie skarby dopóki kochamy, a zmiénione w sprzęty ze zmianą uczucia, zapieczętował razem i odesłał je pięknéj Andaluzyance z tym napisem na kopercie: « Pani za bardzo mocno mię kochasz...—

———

KONTENT z WSZYSTKIEGO.

—(*Z Angielskiego.*)—

W zakątku ogrodu tuleryjskiego w Paryżu, blisko terasy zasłaniającéj go od wiatrów północnych, jest małe miéjsce, gdzie na wiosnę i w jesieni bardzo wygodnie słońcem ogrzéwać się można. Wzdłuż muru znajdują się ławki, na których odpoczywając nie traci się powabnego widoku na przepyszne ulice ogrodu. Szczęśliwy ten zakątek ziemi jest zwyczajném miéjscem schadzek starców i nianiek, a mianowicie w zimie przedstawia ożywioną nader widownią. Nieraz widzieć tu można kawalera dawnéj szkoły, który, gdy mu cokolwiek promienie słońca krew rozgrzały, odważa się cień galanteryi roztoczyć przed oczyma otaczających go starych piękności i niekiedy piękne niańki śledzi spojrzeniami piętnowanemi nazwiskiem płochości. — Między zwiédzającemi to miéjsce postrzegałem także starego ślachcica w ubiorze trochę starożytnym. Nosił trzyrożny kapelusik czyli pirożek. Miał koło oczów jak skrzydła gołębie fryzowane włosy, co jest znakiem najczystszego rojalizmu, a z tyłu splecione były w warkocz jak dowód niezaprzeczonéj lojalności. Przechodzona suknia jego nosiła jeszcze piętno dawnéj elegancyi i uważałem, iż zażywał tabakę ze złotéj w prawdzie, ale staroświeckiéj tabakierki. — Zdawał się być najpopularniéjszym człowiekiem promenady. Dla każdéj staréj Damy miał komplement w pogotowiu. Całował każde małe dziecko i każdego małego pieska głaskał po głowie, albowiem małe dzieci, i pieski małe są ważnemi członkami towarzystwa

we Francyi. Uważałem także, iż nigdy nieuściskał żadngo dziécięcia nie szczypnąwszy piérwéj nańki jego w piękną buziulkę, albowiem Francuz dawnéj i nowy szkoły niezapomina nigdy o grzeczności dla płci pięknéj. — Łatwo zaznajomiłem się z tym starym ślachcicem. Miał w rysach twarzy swojéj ów ciągły wyraz sprzyjania, często postrzegany w ruinach czasów kawalerskich Francyi. Nieustannie następujące po sobie owe tysiączne małe grzeczności, nieznacznie charakter łagodzące, wywiérając szczęśliwy skutek na fizognomią twarzy, cieniują nad podziw miłym blaskiem zmarszczki wieku sędziwego. — Dobre miałem wyobrażenie o tym starym ślachcicu i często widując się z nim, tém bardziéj jeszcze w moim dobrym sposobie myślenia o nim utwierdzony zostałem, tak dalece, że z nim spoufaliłem się. Parę razy zrobiłem mu miéjsce na ławce, wkrótce potém przywitaliśmy się, poczęstował mnie tabaką, ja go nawzajem, co tyle znaczy, gdy kto z kim na wschodzie jé chléb ze solą. — Od chwili téj zaszła poufałość między nami i wiele znajdowałem przyjemności, słuchając o wypadkach dziennnych wesołych jego i dowcipnych uwag. Razu jednego, gdyśmy z sobą po ulicach ogrodu chodzili, a wiatr jesienny obumarłe liście strącał z gałęzi kasztanów, odkrył mi mój nowy przyjaciel niektóre szczegóły z życia swojego. — Był niegdyś bogatym, miał piękne dobra i świetne pomiészkanie w Paryżu. Rewolucya atoli tyle zmiéniająca rzeczy i jego mu majątek zabrała. Skrycie w czasie zgrozy przez własnego wydany intendenta, znajdował się w niebezpieczeństwie bycia uwięzionym, lub stracenia głowy pod mieczem gilotyny. Wszelako przestrzeżony w czas jeszcze potrafił uciec do Anglii. Przybywszy do Londynu miał tylko jednego luidora w kieszeni i ani nadziei dalszego utrzymania. Samotnie na obiad posilał się bifsztykiem i o mało co nie otruł się winem z Oportu, które z podobnego koloru za *Clairet* trzymał. Smutny widok szopy, albo raczéj składu na towary, gdzie miészkał, nieprzyjemnie kontrastował ze śmiejącemi się salonami Paryża. Zdawało mu się, że

wszystko pokryte ciemną powłoką. Nędza w całéj okropności swojéj odwiédziła pomiészkanie jego. Zanurzony w smutku z żałością, z kieszeni swojéj ostatnie szylingi wyciągnął. — Odważył się nareszcie pójść raz na teatr. Usiadł w parterze i słuchał uważnie trajedyi, z któréj ani słowa nie zrozumiał i gdzie same tylko utarczki, mordy i sceny najokropniéjsze koleją po sobie następowały. Patrząc na to wszystko, zdawało mu się, że i jemu kto sztylet do serca przykłada, gdy w tém pojrzawszy na orkiestrę z wielkiem zadziwieniem swojém postrzegł w niéj jedynego z dawnych przyjaciół swoich wydobywającego z wielką trudnością żałośne tony z ogromnéj wiolonczeli. Po skończonéj sztuce uderzył go ręką po plecach. Uściskali się i Wirtuoz ofiarował ślachcicowi naszemu połowę pokoju swojego. Umiał cokolwiek muzyki, któréj się uczył dla własnéj rozrywki. Przyjaciel zatém jego radził mu teraz użytkować z talentu swojego i tym sposobem utrzymanie sobie zapewnić. Dał mu więc skrzypce i wyrobił miéjsce w orkiestrze. Od tego czasu uważał się nasz ślachcic za najszczęśliwszego człowieka w świecie. Żył tym sposobem lat kilka, gdy tymczasem Napoelon szczytu potęgi swojéj dosięgał.

Wielu francuzkich emigrantów żyło w Londynie ze szczupłych talentów swoich. Takowi składali małe towarzystwo, w którém rozmawiano tylko o Francyi, i o pięknéj młodości swojéj i starano się w Londynie zrobić sobie obraz życia paryzkiego. Co dzień jadali u nędznego francuzkiego garkuchnika, w blizkości Leicester-Square, który cień tylko prawdziwéj kuchni francuzkiéj wystawić im potrafił. Potém przechadzali się po parku St. James i zdawało im się, że chodzą po ogrodzie tuilleryjskim. Na wszystko z resztą czy złe czy dobre, zgodzić się musieli, wyjąwszy na niedzielę angielską. Dwudziestoletniém przebywaniem swojém w Anglii tyle nakoniec dokazali, że przynajmniéj z biédy językiem krajowym rozmówić się mogli. — Upadek Napoleona nową zrobił epokę w życiu przyjaciela mojego. Niegdyś czuł się szczęśliwym, że udało mu się opuścić Francyą, lubo z jednym tylko luidorem w kieszeni, ale bezpiecznie i bez szwanku, teraz zaś także za szczęśliwego się poczytywał, że choć ubogi, do Paryża powracał. Od czasu rewolucyi pałac jego w Paryżu po dwadzieścia razy może zmiéniał właścicieli swoich, nie miał więc najmniéjszéj nadziei posiadania go

kiedyś, pozyskał jednak od rządu małą pensyjkę z kilkuset franków złożoną, zapewniającą mu niepodległe i na pozór przynajmniéj szczęśliwe życie. — Dawny pałac jego został domem zajezdnym (hôtel garni,) w nim więc najął sobie pomiészkanie i zawsze mu się zdaje, że jeszcze we własnym domu miészka; lubo o kilka pięter wyżéj i niewygodnéj, ale nic to nie szkodzi. Pokój jego ozdobiony portretami dawnych piękności które go niegdyś przywiązaniem swojém zaszczycały. — Między temi znajdowała się pewna znakomita baletniczka, na lat kilka przed rewolucyą powszechne wzbudzająca podziwienie. Przyjaciel mój opiekował się nią, i onato jest jedną z owych osób, które lata i zdarzenia pokonały. Oboje odnowili teraz znajomość swoję i odwiédzają się niekiedy. Atoli z owéj pięknéj Psyche, będącéj niegdyś boginią mody i rozkoszą parteru, jest teraz mała marszczkami okryta staruszka z garbem na plecach i z powiędłemi policzkami. — Stary francuz uczęszcza regularnie na pokoje królewskie. Nie ukrywa wszakże ubóstwa swojego i brak niejednéj rzeczy dobrym humorem nagrodzić się stara. — «Straciłem piękny pałac» mówił raz do mnie, «ale nie stojąż mi otworem wszystkie pałace królewskie? Chcąc użyć wiéjskiego powietrza, udaję się do St. Cloud, lub do Wersalu; chcąc w mieście się zabawić, idę do Tuileryów, lub do Luxemburga. Przechadzając się po tych ogrodach, nie wiele brakuje, że sobie wyobrażam, że one są moje. Przechadzających uważam za gości moich, których do tego jeszcze niczém przyjmować nie potrzebuję. Pałac mój jest prawdziwym Sans-Sousi, gdzie każdy czynić może, co mu się podoba, bez zostania właścicielowi natrętnym. Nié mam wprawdzie dochodów tyle, bym mógł chodzić do teatru, wszelako Paryż cały jest dla mnie ogromną widownią, rozmaite przedstawiające mi sceny. Nié mam kucharza, ale na każdéj ulicy mam dla siebie stół nakryty. Tysiąc służących jest zawsze w pogotowiu słuchać każdego skinienia mojego, a gdy zrobili co zechcę, płacę im i odprawiam. Nié mam przyczyny obawiania się żeby mnie nieokradli, kiedy pilnować ich obowiązany nie jestem. Wszystko to razem wziąwszy» dodał z uśmiéchem pełnym wyrazu: «gdy pomyślę o niebezpieczeństwach, które mi zagrażały, a które przybyłem szczęśliwie, gdy sobie przypomnę, com cierpiał i porównywam z tém teraźniéjszą spokojność moję, niémamże słuszności trzymania się za szczęśliwego.?» — Ta to była krótka historya tego praktycznego filozofa, a która zapewniła mnie, o czém wątpiłem dotąd, że jest na świecie człowiek, zupełnie kontent z wszystkiego.

---

## FRASZKA.

Głowa Jowisza wydała mądrość, a głowy teraźniéjsze rodzą fraszki, żarciki, szarady i t. p.

# POLITYKA.

Anglia. *Londyn* 12 Stycznia. Pan Beaumont, członek Parlamentu, wybrany w Northumberland, napisał do O'Connella z prośbą, aby wystawił myśli swoje o stósonkach Irlandyi. O'Connell oświadczył w odpowiedzi swojéj, datowanéj w opactwie Darrynane dnia 30 Grudnia: «Zapytujesz mnie WćPan, czyli mniemam, iż Irlandya będzie i może być spokojną piérwéj, nim religia większości jéj mieszkańców nie zostanie w każdym względzie postawioną w równi z religią mniéjszości? Odpowiadam na to, iż zdaniem mojém, Irlandya nie będzie i nie może być spokojną, dopóki ta równość wyznań nie nastąpi. Dodaje, iż za życia mego nie będzie w Irlandyi brakować zbawiennéj, spokojnéj i energicznéj agitacyi, dopóki zupełna równość religijna, bez najmniéjszego wpływu politycznych i cywilnych prerogatyw jednego lub drugiego wyznania, nie będzie wprowadzoną i trwałe utwierdzoną. Żądasz WćPan odemnie oświadczenia, czyli myśl którą każdy Irlandczyk jest przejęty, iż katolicy i protestanci jednakowe prawa bez różnicy mieć powinni, jest punktem honoru dla Irlandczyków. Pod wyrazem punkt honoru, poczytujesz WćPan zapewne pobudki do czynów, przy których uczucie działa wspólnie z rozumem. Przypuściwszy to, oświadczam jawnie, iż lud irlandzki jest przekonany, że powinna być religijna równość między katolikami i protestantami. W krótkości namienię o naturze téj równości. Trzeba atoli porozumieć się względem znaczenia tego wyrazu. Są trzy sposoby przywrócenia téj równości: 1) albo trzeba kościołowi protestanckiemu zostawić dotychczasową jego własność, a w tenczas Parlament powinien obmyśleć równe dochody dla kościoła katolickiego; 2) albo dobra kościelne w Irlandyi podzielić między protestantów i katolików; 3) albo rząd powinien wziąść dobra kościelne, i przeznaczyć je na instytuta naukowe i dobroczynne, zostawując protestantom staranie się o utrzymanie duchowieństwa swego, i w ogólności całego wyznania, jak oddawna czynią katolicy. Piérwszy sposób byłby uciążliwy dla Anglii, bo dyssydenci musieliby się przykładać do uposażenia duchowieństwa katolickiego; drugi sposób podzielenia dóbr

kościelnych, stanowczo odrzucamy, bo skutek jego byłby szkodliwy. Każde wyznanie powinno samo utrzymywać swoich duchownych. Dopóki pastor protestancki może brać własność katolików, dopóty trwać będą zatargi w Irlandyi ze wszystkiemi klęskami, jakie ztąd wynikają. Nienaturalny stan Irlandyi pochodzi z nierówności religijnéj. Lud w Anglii zasługiwałby na pogardę, gdyby wyznaczono zbyteczne uposażenie dla tamecznych xięży katolickich. Liczba ich jest w takim stosunku do całéj ludności, jak w Irlandyi liczba protestantów do liczby katolików. Lud Irlandzki postanowił nie przykładać się już do utrzymania kościoła anglikańskiego.»

Francya 14 Stycznia. — Rozprawy w izbie Parów względem adresu odpowiedniego na mowę z tronu, nie były świetne dla P. Molé, który dał bardzo słabe objaśnienia. Czyliż wypadało mu oświadczyć, iż przymierze angielskie jest zasadą polityki francuskiéj? Prezes rady chciał pozyskać niejaką pochwałę ze strony dzienników. Oświadczenie zaś teraźniéjszego ministeryum, iż tylko postępuje daléj torem ministrów z d. 22 Lutego, jest prawdziwie godném ubolewania, czegoś lepszego spodziewano się po stałości Panów Molé i Guizot. Wszystko to pochodzi z obawy utracenia większości w téj *quasi* rewolucyjnéj izbie deputowanych. Nie idzie teraz o spor ministeryalny, lecz o to, czyli król Ludwik Filip zatrzyma daléj kierunek sprawami zagranicznemi, lub poruczy go stronnictwu *tiers parti*. Jest to rzecz nader ważna, aby nie miała zatrudniać Europy. Cóżby się stało z temi sprawami, gdyby niemi kierowali przyjaciele Pana Dupin? W razie zmiany teraźniéjszego ministerium, król Jmć gotów utworzyć takie, które ochroni go od *tiers parti*. Jednoczesne przybycie marszałka Soult i jen: Sebastiani zgadza się z zamysłem monarchy utworzenia ministerium, na którego czele byliby ci mężowie.

Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w PONIEDZIAŁEK, ŚRODĘ i PIĄTEK o drugiéj po południu. — Zaliczenie kwartalne na 36 Nrów wynosi Zlp. 6 i przyjmuje się w handlach Wych Kocha i Szreibera.

*W Krakowie Czcionkami Józefa Czecha*